

## W gorsecie sprzeczności

Ma rację Wacław Zawadowski (*W gorsecie podstawy programowej*, G.Sz. nr 15), że podstawa programowa nie jest samodzielnym utworem, lecz elementem większej układanki, którą nazywamy systemem sterowania oświatą narodową. Gdyby obowiązująca podstawa grzeszyła tylko stylem i językiem, można by z nią żyć. Niestety, jej konstrukcja okazuje się sprzeczna z duchem reformy programowej.

Miejscem, w którym rozstrzyga się wartość każdej reformy, jest izba szkolna, a postacią, od której zależy rozstrzygnięcie – nauczyciel. Nauczyciel powinien mieć całkowitą swobodę w planowaniu lekcji, ale jego swoboda w doborze treści kształcenia musi być mądrze ograniczona. Podstawa programowa miała nauczyciela ograniczyć, ale nie ubezwłasnowolnić. Czy jej się to udaje?

Powiada się, że w przeciwieństwie do centralnego programu nauczania obowiązująca podstawa daje nauczycielowi swobodę kształtowania własnej praktyki. Ale wartość swobody jest ściśle związana ze zdolnością czynienia z niej użytku. Jeśli dać ludziom więcej swobody, niż są w stanie wykorzystać, natychmiast znajdą się pośrednicy, którzy za nich zagospodarują nadwyżkę.

### Nadmiar swobody kończy się niewolą

Wyobraźmy sobie nauczyciela fizyki, który chce wiedzieć, czy musi nauczać o prawie Ohma w gimnazjum. Ustawodawca odeśle go do podstawy programowej. Ta o prawie Ohma nie wspomina, ale z jej postanowień wynika, że **można** o nim nauczać zarówno w gimnazjum, jak i w liceum. Skoro można nauczać w gimnazjum, to można też nie nauczać. Kto ma rozstrzygnąć tę wątpliwość?

Nauczyciel? Nie – ponieważ nie ma żadnej gwarancji, że podobnie ją rozstrzygną konstruktorzy testów egzaminacyjnych. Na placu pozostają tylko dwa podmioty – autor programu dopuszczonego do użytku szkolnego i konstruktor testu egzaminacyjnego. Pośrednicząc między podstawą a nauczycielem, decydują za niego. Nauczycielowi musi wystarczyć, że ma wybór między cudzymi programami pod dyktando informatorów CKE. Może to być – trzymając się miłych Zawadowskiemu porównań medycznych – wybór między dżumą i cholera, ale i tak trzeba się cieszyć, bo “gdzie jest wybór, tam jest wolność i może zakwitnąć twórczość”.

Obrońca obecnego systemu powie, że oba podmioty decydują wprawdzie za nauczyciela, ale nie robią tego dowolnie. Program musi być zgodny z podstawą programową. Kontroluje to i potwierdza aktem dopuszczenia do użytku szkolnego minister edukacji. Zgodność informatora i testu egzaminacyjnego kontrolują sami twórcy, czyli nikt. Sama jednak idea zgodności z podstawą programową jest obarczona błędnym kołem: **w celu uprawomocnienia decyzji w sprawach nierozstrzygniętych przez podstawę wymaga wykazania, że są one zgodne z podstawą!** W praktyce oznacza to, że decyzje obu podmiotów są suwerenne.

Wniosek jest prosty: żyjemy w systemie, w którym o doborze treści kształcenia nie decyduje rzekomo nadrzędna podstawa programowa, lecz jednostkowe programy i testy egzaminacyjne. Podstawa rozstrzyga sprawy niekontrowersyjne (mówi: należy nauczać o prądzie elektrycznym – tak jakby fizyk mógł mieć co do tego wątpliwości). Sprawy kontrowersyjne składa w ręce autorów programów i egzaminatorów.

Kto jest uprawniony do wydawania wiążących decyzji w sprawach kontrowersyjnych, ten ma władzę. **Obowiązujący stan prawny oddaje władzę nad doborem treści kształcenia**

**komercyjnym wydawnictwom i państwowym komisjom egzaminacyjnym.** To z pewnością nie było zamiarem ustawodawcy wprowadzającego reformę programową.

Dodajmy, że gdzie dwuwładza, tam i konflikty. W programie zatwierdzonym do użytku szkolnego nie ma *Antygony*, ale pytania na temat tego dramatu pojawiają się w teście egzaminacyjnym. Kto odpowiada za porażkę uczniów na egzaminie? Nauczyciel – pada zgodna odpowiedź.

Słusznie domaga się Zawadowski udoskonalenia systemu egzaminacyjnego, ale dlaczego zamiast podstawy? Czy nie rozumie, że pod panowaniem obecnej podstawy o doskonaleniu egzaminów, podobnie jak podręczników, nie może być mowy?

### **Po pierwsze, nie zmieniać**

Jak to możliwe, że tak widoczne sprzeczności uchodzą uwadze nieutytułowanych i utytułowanych krytyków projektu nowej podstawy programowej? Mogę zrozumieć, że nie protestowali, gdy stara podstawa wchodziła w życie, bo nikt ich wtedy nie pytał o zdanie ani go nie słuchał. Mogę zrozumieć, że nie przystąpili do kreślenia dróg naprawy, bo mieli na głowie ważniejsze sprawy. Czemu jednak z takim poświęceniem rzucają kłody pod nogi tym, którzy podjęli wyzwanie? Czemu są głusi na argumenty?

**Anna Pawlak** (*Tworzenie jest sztuką trudną*, G.Sz. nr 15) już w listopadzie zeszłego roku, w dniu otwarcia naszego forum dyskusyjnego, napisała: “nie zmieniajcie, nie przebudowujcie czegoś, co nie zaistniało tak naprawdę w szkole [...] Mamy przebudowę – czytaj: wracamy do lat 56/63. Gratuluję pomysłowi; szkoda, że za ciężkie pieniądze”. **Jak wytłumaczyć, że po pięciu miesiącach pracowej wymiany argumentów i opublikowaniu roboczej wersji projektu Autorka nie oferuje żadnej nowej myśli, lecz jedynie zaostrza język?**

Na trop odpowiedzi naprowadza konkluzja: “Nie zmieniać”, łącząca niemal wszystkich krytyków. Niektórzy przyznają, że system sterowania z obowiązującą podstawą programową w centrum nie jest doskonały, ale straszą zamętem, radzą, by jeszcze poczekać, proponują zacząć od szerokiej debaty o “filozofii kształcenia”, głównych założeniach i ogólnych scenariuszach rozwoju oświaty, czyli stosują dobrze znane techniki blokowania zmiany. Czym się powodują?

**Po pierwsze** – lojalnością polityczną: “Oni (koalicja SLD-UP) chcą udowodnić, że my (koalicja AWS-UW) źle się spisaliśmy. Nie pozwólmy im podnieść ręki na naszą podstawę”. **Po wtóre** – interesem. Reforma programowa utorowała drogę trzem grupom zawodowym: wydawcom oświatowym, autorom programów i podręczników oraz egzaminatorom. Dzięki sprzecznościom reformy cieszą się oni większymi dochodami, prestiżem i władzą, niż to wynikałoby z ich pozycji w systemie, toteż nie szczczędzą wysiłków, by utrzymać *status quo*.

### **Na sali i korytarzu**

Nie łudzę się, że dla nauczycielstwa przebudowa podstawy programowej jest sprawą pierwszej wagi. Z obowiązującej podstawy korzysta w praktyce jedynie czwarta część nauczycieli. Projektem nowej podstawy interesują się nieliczni. Nie jest to jednak przyrodzony stan rzeczy.

**Podczas różnych spotkań obserwuję interesującą dynamikę nauczycielskiej uwagi.** Gdy opisuję sprzeczności systemu, nauczyciele demonstrowują uprzejmą, acz nieco roztertargnioną neutralność. Pierwszą życzliwą reakcją wywołuje informacja, że nasz projekt rezygnuje ze ścieżek edukacyjnych. Gdy mówię, że projekt zwalnia nauczyciela z konieczności wybierania resortowego programu i wpisywania do dziennika jego sygnatury, słyszę szmer aprobaty. Zapowiedź dostosowania treści kształcenia do liczby godzin i chłonności uczniów nauczycie-

le przyjmują z niedowierzaniem, bo tyle razy już to słyszeli, ale gdy cytuję fragmenty projektu i pytam, co można skreślić bez szkody dla wykształcenia uczniów, zawsze dostają rzeczyną odpowiedź. Niektórzy ożywiają się przy zasadzie 25 proc. czasu nauczania do dyspozycji nauczyciela – może już myślą o ćwiczeniach i doświadczeniach, na które teraz nie starcza im czasu, a może o ulubionych zagadnieniach, których dotychczas nigdzie nie było. Inni się cieszą, że konkretyzacja wymagań w podstawie położy kres niepewności przed egzaminami i ochroni nauczyciela przed zarzutami ze strony rodziców, że postawił dziecku jedynekę za coś, co go nie obowiązuje.

**Na sali dominują agitatorzy niezmienniania. Nauczyciele chętniej rozmawiają ze mną podczas przerw na korytarzu.** Mówią, że obecny system wystawia na ciężką próbę ich poczucie rozsądku i zawodowej przyzwoitości. Przyznają, choć z chwalebna powściągliwością, że nasz projekt wygląda rozsądnie. Obiecują przysłać szczegółowe uwagi i czasem to robią.

Tak jest dziś w całym kraju. Nauczyciele rozmawiają o sprawach swojej profesji na korytarzach. W salach przemawiają pośrednicy.

KRZYSZTOF KONARZEWSKI

Autor jest profesorem pedagogiki i ekspertem oświatowym. Kieruje pracami nad projektem nowej podstawy programowej w Instytucie Spraw Publicznych.